

MARIA BUJAK

AKADEMIA



MROKU

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Adrian Matuszkiewicz

Redakcja: Janina Wojteczko

Korekta: Dominika Dziarmaga

Projekt okładki: Justyna Knapik

Ilustracja: Oliwia Potoczna

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: beya.pl

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

beya.pl/user/opinie/akamro

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1237-3

Copyright © Helion S.A. 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Prolog

Żołnierz 54

– Zmiana – burknął Thomas, klepiąc mnie po ramieniu. – Teraz ty pilnujesz.

Spojrzałem na niego, mrużąc oczy. Zerknąłem na zegarek i wygodnie rozsiadłem się w fotelu.

– Jeszcze trzy minuty – odpowiedziałem podobnym tonem.

Nie miałem ochoty ruszać się z ciepłego miejsca tylko po to, aby obserwować ludzi snujących się bez celu. Było to najnudniejsze zadanie ze wszystkich obowiązkowych, a naprawdę było w czym wybierać. Od siedzenia przed słabej jakości obrazami z kamer, które unieźmożliwiały dostrzeżenie czegokolwiek, po pomoc opiekunkom w sali noworodków. Zajmowaliśmy się dosłownie wszystkim i niemal każdy z pracowników miał tego powoli dość. Zostawiono nas samym sobie, a zarząd nie kontaktował się z nami od kilku tygodni. Już powoli przedstawialiśmy się zajmować obowiązkami, które nie wpływały bezpośrednio na nasze bezpieczeństwo. Jeśli to miało iść tak dalej, byłem pewien, że wszystko runie szybciej, niż to zbudowaliśmy.

W końcu utknęliśmy tu z bandą zamkniętych na cztery spusty szaleńców, nafaszerowanych lekami tak mocno, że nie byli w stanie stwierdzić, gdzie kończą się ich dłonie.

– Daj spokój – odezwał się Thomas, tracąc cierpliwość. – Wczoraj to ty byłeś z nimi o pięć minut za krótko.

Popatrzyłem w kamery, a następnie na stację, przez którą porozumiewaliśmy się ze światem.

Mamy prawie rok trzytysięczny, a my nadal kontaktujemy się przez tak beznadziejny sprzęt.

– George, idź do nich – warknął. – Nie mogą zostać bez opieki.

– Przecież są tam Clara i Olivia... – Również zacząłem się niecierpliwić.

– Tak, są z mężczyzną, który zamordował całą swoją rodzinę – zripostował. – Już nie wspomnę o jego dziwnych umiejętnościach, które...

– Wystarczy – wtrąciłem i machnąłem ręką.

Wstałem z głośnym westchnięciem, by przypadkiem nie miał wątpliwości, że nie jestem zadowolony z takiego obrotu sprawy. Naprawdę nie miałem ochoty tego robić. Nikt nas przecież nie kontrolował, a Thomas wydawał się osobą, która nadal się obawiała, że ktoś przyłapie nas na kilkuminutowym opóźnieniu. Poza tym jedyne, czego chciałem, to dowiedzieć się, co działo się z moją żoną i córką. Nie miałem z nimi kontaktu od tygodni, a nasza ostatnia rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych. Tak bardzo chciałem przeprosić je za to, jak je potraktowałem.

– Jeśli się odezwą...

– Tak, wiem. Żadne z nas nie ma kontaktu z rodziną. Uwierz, że nie tylko ty na to czekasz.

Skrzywiłem się. Wypowiedział myśli, które kotłowały się w mojej głowie. To było jak strzał prosto w serce. Niepokój był przerażający. Chodziło o awarię? A może o to, co działo się po ich stronie?

Przeszedł mnie dreszcz. Nie chciałem dopuszczać do siebie myśli, że... Wiedziałem przecież, co działo się na świecie przez dekady. Kilkadziesiąt lat temu został otworzony ośrodek, gdzie obecnie przebywałem. Co za tym idzie – ominęła mnie epidemia, która dosięgła największych kontynentów świata. Zabrała tysiące istnień, w tym rodziców żony oraz dwójkę moich najmłodszych dzieci. Państwa,

by zapobiec okrutnej chorobie, były odcinane od reszty świata. Na siedliska zarazy zrzucano bomby, żeby powstrzymać jej dalsze rozprzestrzenianie. Niejednokrotnie mówiono jednak, że po epidemii nadciągnie jeszcze większe zło. Stosunki między najpotężniejszymi państwami przez ostatnie miesiące znacznie się pogarszały, a ja jedynie się domyślałem, co mógł oznaczać brak kontaktu z moją rodziną.

I najtrudniejsze było to, że nie mogłem nic z tym zrobić. Powołali nas lata temu, a warunki w umowie były jasne – bardzo dobre pieniądze, piętnaście lat służby, ale ani jednego dnia wolnego i brak możliwości powrotu do domu. Mimo to żadne z nas nie spodziewało się, że już nigdy nie zobaczymy naszych rodzin i utkniemy w miejscu, w którym tylko jedno było pewne. Śmierć.

Dzisiejsze czerwcowe popołudnie znacznie różniło się od tego, które miało miejsce dokładnie rok temu. Wtedy na połowie terenu laboratorium oraz ośrodka zalegał śnieg, całkowicie nas paraliżując. Tym razem natomiast pojawiło się słońce, zapowiadające słoneczne lato. A przynajmniej dopóki ponownie nie zaatakują nas mrozy, powodzie albo inne zjawiska.

Po lewej stronie usłyszałem kroki.

– Dzień dobry, Claro – odezwałem się jako pierwszy, siląc się na uprzejmy ton.

Dziewczyna, jak to miała w zwyczaju, uśmiechnęła się wesoło.

– Wiem, że dopiero zaczynasz, ale padam z nóg. Potrzebuję zejść na przerwę, czy będzie w porządku?

Przytaknąłem, choć miałem ochotę odpowiedzieć, że każde z nas jest zmęczone.

– W dwudziestce siódemce masz serum z kulczyby – mówiła dalej, przekazując mi kartę, dzięki której mogłem dostać się do pokoju. – Bardzo proszę, abyś go na nich nie używał, jeśli nie poczujesz się zagrożony, dobrze?

Skrzywiłem się, bo zrozumiałem aluzję. Dziewczyna i pozostali współpracownicy wiedzieli, jaki miałem stosunek do *wynaturzonych*. W odróżnieniu od reszty pracowników byłem jednak świadomy, co kryje się pod warstwą osłabionego ciała. Wiedziałem, że nie możemy

dopuścić, aby któryś z nich poczuł się chociaż odrobinę pewniej czy lepiej. W pierwszej kolejności musieliśmy dbać o własne bezpieczeństwo.

– Przewrotny zawsze ubezpieczony. Daj mi ją, a ty idź odpocząć. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Nie zabrała ręki z karty.

– Są tacy jak my, George.

– Zobaczymy, co powiesz, jak odzyskają świadomość. – Wyrwałem plastik z jej dłoni. – Środki z kulczyby i inne zaraz się skończą. A biorąc pod uwagę brak kontaktu ze światem, sami będziemy musieli sobie poradzić z gromadką wygłodniałych, dzikich i zirytowanych kreatur.

W jej oczach można było dostrzec łzy. Nadal nie byłem w stanie pojąć, dlaczego tak wrażliwa dziewczyna zdecydowała się na tę robotę. Od początku przestrzegali nas, że nie jest to lekka praca. Odkąd sięgam pamięcią, byliśmy zmuszeni patrzeć, jak eksperymentują na tych ludziach. Od więźniów, aż po ich potomków tworzonych w laboratoriach.

– Zaatakowali, prawda?

– Mamy przerwane wszystkie łącza. Myślisz, że moja córka ot tak nie odezwałaby się do mnie przez trzy tygodnie? – Nie byłem w stanie skłamać. – A twój mąż, Claro? Jeśli jeszcze nie użyli bomby jądrowej, to gwarantuję, że zaraz do tego dojdzie. I jeżeli nas to nie osiągnie, to Howard albo Rochester spod czwórki zamordują nas w jednej sekundzie.

Dziewczyna nie panowała już nad łzami. Każdy doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co spotka nas w ciągu miesiąca.

– Przepraszam – powiedziałem, gdy uświadomiłem sobie, do jakiego stanu ją doprowadziłem.

Wszyscy byliśmy w rozsypce, każde z nas w jakiś sposób się bało. Nie powinienem jej dokładać stresu.

– W porządku. Przecież wiemy, jak to wygląda. – Pociągnęła nosem i wzruszyła ramionami. – Od rana nic nie jadłam, naprawdę muszę odpocząć.

– Smacznego, Claro – odpowiedziałem jej na odchodne.

Westchnąłem, ruszając w stronę pomieszczenia otwieranego za pomocą karty. Wziąłem kilka ampułek z odpowiednimi płynami. Upewniłem się, że igły do nich są odpowiednio zabezpieczone, a następnie wszystko umieściłem w specjalnej nerce, którą zawsze miałem pod ręką. Dla pewności zgarnąłem jeszcze paralizator i ruszyłem na plac. To właśnie od niego zacząłem swój obchód.

Starannie przyglądałem się ludziom, którzy sami określili się mianem więźniów. Niektórzy spojrzeli w moim kierunku. Kiedy jednak dostrzegli, w co jestem zaopatrzony, szybko odwrócili wzrok. Inni siedzieli pod drzewem i cicho, na tyle, na ile byli w stanie, rozmawiali ze sobą. Większość natomiast stała i w coś się wpatrywała.

Kiedy tak na nich patrzyłem, naszła mnie dziwna, niecodzienna myśl. Przez chwilę im zazdrościłem. Co prawda to my zgotowaliśmy im ten los. Byli bandą szaleńców, codziennie faszcerowanych lekami i poddawanych elektrowstrząsom. Większość z nich została tu zamknięta z powodu czynów, jakich się dopuściła, ale ich dzieci...? Urodziły się tutaj i wychowywały tylko do celów laboratoryjnych oraz dla bezpieczeństwa innych. Inaczej moce, które w nich tkwiły, z pewnością wyszłyby na światło dzienne. Zarząd nie mógł na to pozwolić, a my wykonywaliśmy ich rozkazy. Mimo to zazdrościłem, bo nie posmakowali normalnego życia. Zazdrościłem, ponieważ w tym całym szaleństwie nie musieli się martwić o ludzi, których niegdyś kochali. Większość z nich nie wiedziała nawet, że takie uczucie istnieje. Nie musieli się troszczyć o jutro. Bo oni nie czuli nic.

* * *

Dni mijały, a my nadal nie mieliśmy kontaktu z kimkolwiek, kto mógłby nam pomóc. Brakowało leków, a *wynaturzeni* zaczęli być mniej otepiali, choć nadal wydawali się za bardzo przestraszeni, aby spróbować czegoś więcej. Mimo to większość personelu nie radziła sobie z presją, którą na siebie narzucaliśmy. Po prostu wiedzieliśmy, że

w końcu się na nas zemszcą, a nasza broń będzie niczym w starciu z ich złością i wracającą świadomością.

– Powinniśmy ich zabić – stwierdził któregoś wieczora Jason, jeden ze strażników.

Siedzieliśmy w grupie na późnej kolacji i pierwszy raz mieliśmy czas, aby chociaż chwilę wspólnie porozmawiać. Zamiast tego jednak prowadziliśmy bezsensowne, donikąd prowadzące dyskusje. Żadne z nas nie czuło się liderem. Nie mieliśmy wystarczających kompetencji, aby zarządzać ośrodkiem. Większość z nas przepracowała zaledwie pięć lat. Pierwszy i na pewno ostatni raz nie mieliśmy tak długo kontaktu z przełożonymi, którzy zwykle mówili nam, co mamy robić. Wiedziałem, że żadne z nas nie dozna olśnienia, dzięki któremu się uratujemy.

– To zabij dziesiątkę dzieciaków, w tym czwórkę noworodków – odpyskował Thomas, zakładając ręce na piersi. – Nie jesteśmy zabójcami, kretynie.

– Ale oni są. – Jason uderzył pięścią w stół. – Albo stąd uciekniemy, albo się ich pozbędziemy. Nie ma innej opcji.

Byłem świadomy, że nie mieliśmy możliwości ucieczki. Nawet nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy. Kiedy podejmowaliśmy się tej roboty, nie powiedzieli nam, gdzie dokładnie będziemy pracować. Chodziły plotki, że ośrodek wybudowali w Australii – kontynencie niezdatnym do życia. Miało to swoje logiczne uzasadnienie. Lata temu społeczeństwo musiało się stąd wynieść przez niepewną pogodę, niespokojne wody oraz zbyt wysoką temperaturę.

Ale istniała jeszcze jedna opcja, którą wybrało już kilka osób. Dwa-dzieścia cztery dni po utracie kontaktu z zarządem troje ludzi popełniło samobójstwo, co fizycznie i psychicznie osłabiło personel. Teraz coraz mniej dzieliło nas od ostatecznej rzezi. *Wynaturzeni* zdążyli zauważyć, co się dzieje, a ich pewność siebie powoli rosła. Zaczęło się od awantur i krzyków, a kilka dni później wydarzyła się pierwsza bójka, w której życie straciła Clara.

Dwudziestego szóstego lipca niemal z ulgą zacząłem się przyglądać, jak jeden z *więźniów* sięga po broń. Nawet nie widziałem jego

twarży. Nie miałem pojęcia, kto wzniecił bunt i był jego liderem, a to wielka szkoda, bo z pewnością mógłby zapisać się na kartach historii jako bohater Nowej Ludzkości. Zamiast tego bohaterem został każdy, kto sięgnął po cokolwiek, co mogłoby nas potencjalnie skrzywdzić. Nie marnowali czasu. Po prostu mordowali każdą napotkaną osobę. Wkładali w to frustrację zbierającą się w nich od lat. Ci spośród nich, którzy nie mieli nic pod ręką, okładali nas pięściami, używali paznokci i zębów. To właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że nienawiść była najsilniejszą emocją, powodującą chaos i napędzającą do działania.

Rozumiałem ich tak bardzo, jak nimi gardziłem. Ze swoimi genami oraz umiejętnościami mieli szansę przeżyć na kontynencie, który dla ludzkości przestał być bezpieczny. Dlatego gdy dostrzegłem na ekranach monitoringu, co się dzieje, rozsiadłem się wygodnie i czekałem na swój koniec. Liczyłem, że wszystko skończy się znacznie szybciej. Dlatego wściekłem się, kiedy na jednej z kamer dostrzegłem coś, czego nie widziałem od tygodni. Przy bramie ośrodka zatrzymały się samochody. Zaskoczony zbliżyłem się do monitora, żeby lepiej im się przyjrzeć.

Uniosłem brwi, zszokowany tym, jak bardzo są stare. Musiały zostać odrestaurowane, ponieważ oryginalne nie przetrwałyby tyle lat w warunkach, jakie aktualnie panowały na świecie. Z ogromnych wojskowych samochodów wyszło kilku mężczyzn i jedna kobieta. Mocą tak potężną, jakiej jeszcze nie widziałem, wyważyła ona bramę i na dobre uwolniła buntowników. Przybyli nie wydawali się zaskoczeni obrotem spraw. Weszli jak do siebie, a jeden z mężczyzn podszedł do człowieka trzymającego w dłoni broń. Zaczęli rozmawiać, a mnie zaschło w gardle.

Jeśli oczy mnie nie myliły, Rochester skinął głową, a następnie podał rękę każdemu z nich. Schowałem twarz w dłoniach, zmęczony zagadkami, których wolałbym nie rozwiązywać.

Czy ze sobą współpracowali? Kim byli?

Spojrzałem na jedną z ostatnich strzykawkę z substancją otępiającą. Nie mógłbym od tego umrzeć, jednak w pewnym stopniu mogłem skrócić swoje cierpienie. W tym momencie pragnąłem przestać czuć.

Upewniłem się, że mam do czynienia z odpowiednim środkiem, po czym drżącą ręką wbiłem igłę w okolice ramienia. Skrzywiłem się. W momencie gdy cała substancja dostała się do mojego krwiobiegu, syknąłem cicho. Przed oczami natychmiast pojawiły mi się mroczki, dlatego oparłem się o biurko. Zacząłem opadać z sił i już po chwili runąłem na podłogę. Nie czułem zupełnie nic.

Przed oczami dostrzegłem moją małą Charlie.

Przez głowę przewinęła mi się myśl, że chciałbym ją zobaczyć i przytulić. Ten ostatni raz. Poczułem na policzkach piekące łyzy. Za pieniądze, które miałem tu zarobić, chciałem opłacić jej edukację oraz pierwsze mieszkanie. Miałem nadzieję, że będzie miała lepszy start niż ja i moja żona.

Poczułem ból w sercu i zacząłem podejrzewać, że stężenie leku w ampułce mogło być śmiertelną dawką.

Wtem usłyszałem nieopodal głosy:

– Nie pozostawili nam wyboru. Nie pozwoliłbym zabić mojej rodziny.

– Rochesterze, nie musisz mi się z niczego tłumaczyć – odpowiedział mu nieznany mi mężczyzna. – Każdy zrobiłby tak samo.

Drzwi do pomieszczenia, w którym leżałem, stanęły otworem. Spojrzałem na dwóch mężczyzn, a ci natychmiast mnie zauważyli. Były więzień wzięty do ręki strzykawkę i parsknął śmiechem. Kucnął tak, abym doskonale go widział.

– Zabicie naukowców i lekarzy było naszym najlepszym pomysłem. – Zaśmiał się. – Nie wiesz, że stężenie, które nas osłabia, dla takich jak ty jest śmiertelne?

W ustach poczułem krew.

– Zaplanowaliście to – wycedziłem ostatkiem sił. – To wy zerwaliście połączenie.

– Nie – odezwał się ten drugi, a ja dopiero teraz zobaczyłem jego twarz. – Jak to w biznesie bywa, jedynie wykorzystaliśmy okazję. Wojna właśnie nią była.

Gregory MacKenzie – najbogatszy człowiek świata, którego ojciec był pomysłodawcą całego tego kończącego się właśnie przedsięwzięcia – stał nade mną z wyraźną satysfakcją w oczach. Wiedzieliśmy o nim tyle co nic, jednak tej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną. Nie miałem podstaw, by mu wierzyć, a on nie miał powodów, by kłamać. Czy to powstanie mogło być ostatnim etapem jego eksperymentu?

– Wszystkich pięć kontynentów zostało zrównanych z ziemią – kontynuował. – Rozumiesz powagę sytuacji, prawda?

– Rochester... – Kaszlnąłem. – Czy ty wiesz, co oznacza sojusz z tym człowiekiem?

– On przynajmniej nie będzie nas torturował i mordował naszych dzieci – powiedział ostro, nie mając zamiaru mnie słuchać. – A ty w końcu spotkasz swoją córkę.

Tak naprawdę nie obchodziło mnie, co stanie się z ludźmi, którzy byli tu więzieni, ale wiedziałem jedno – w sojusz z Gregorym MacKenzim się nie wchodziło, ale Rochester musiał sam się o tym przekonać.

– Mam nadzieję, że twoje dzieci nie przypłacą tego życiem.
To były moje ostatnie słowa.

ROK 3020

Rozdział 1

Christian

W dniu, w którym stanęliśmy przed ogromną posiadłością, rzekomo kryjącą najpotężniejszego z *wynaturzonych*, temperatura spadła poniżej zera. Było to dziwne zjawisko, przecież mieliśmy końcówkę wiosny.

Miałem jednak świadomość, jakie są możliwości mojego ojca – temperatura mogła być jego sprawką. Nigdy nie udało mi się opanować tak potężnych umiejętności jak te jego. Mike był człowiekiem, dla którego wywołanie burzy śnieżnej nie stanowiło większego problemu. Mogła to być taktyka ludzi z posiadłości – może mieli zamiar odstraszyć mrozem i śniegiem nieprzyjaciół? Ale z drugiej strony taka pogoda jedynie zwracała uwagę. A sam wróg, chociaż jeden, był na tyle zdeterminowany, że nawet mrozy stulecia nie powstrzymałyby go przed atakiem. W końcu dla Radnych największym problemem było odnalezienie kryjówki Rochesterera oraz upewnienie się, czy w ogóle jeszcze żyje.

Mike Ross. Nie czułem się komfortowo z tym, że musiałem stanąć z nim twarzą w twarz. Do tej pory nie miałem z nim niemalże żadnego kontaktu. Po tragedii sprzed dwunastu lat nasza relacja przestała istnieć. A teraz zaczynałem mieć obawy, czy będę w stanie w ogóle z nim współpracować.

Spojrzałem na Teodora – to dzięki niemu dostaliśmy się pod posiadłość szybciej, niż zdołalibyśmy to zrobić, gdybyśmy jechali samochodem. Był zmęczony przez teleportowanie się od pięciu dni. Widziałem ogromne wory pod jego oczami, suche usta oraz włosy w nieładzie. Dodatkowo jego idealnie skrojony garnitur w tym momencie nadawał się jedynie do śmieci. Nie wyglądał już jak dumny Teodor Beluardo, którego poznaliśmy zaledwie kilka dni temu.

Moja ciotka natomiast okazała się jeszcze silniejsza, niż ją zapamiętałem. Miałem wrażenie, że podróż nie zrobiła na niej większego wrażenia. Jak my wszyscy była zmęczona i głodna, a w jej spojrzeniu można było wyczytać pytanie o to, czy to już koniec, ale z pewnością nie wyglądała tak źle jak Teodor. Joe nie mogliśmy wziąć ze sobą, na szczęście Lydii udało się go zostawić u zaznajomionej sąsiadki. Jak się okazało, było to spore ułatwienie, ponieważ żadne z nas nie wiedziało, jak pies zniósłby taką podróż.

Takim oto sposobem po pięciu dniach, z drobnymi przerwami na czterogodzinne drzemki, stanęliśmy przed ogromnym budynkiem, który swoją wielkością mógłby konkurować z Akademią. Przez myśl przeszło mi nawet, że może Rochester nie miał zamiaru się ukrywać i jedynie czekał na Radnych. Może po to ten śnieg? By wyróżnić się jeszcze bardziej i krzyknąć: „Patrz! Jestem tutaj!”? W końcu bardziej logiczne by było, gdyby ukrywał się w kanałach pod małymi miasteczkami zamiast w takim miejscu. Co prawda kryjówka była obskurna, z powybijanymi oknami, ale w takich miejscach bardzo często można spotkać ludzi, którzy nie mają gdzie się podziać.

Nagle Sky odetchnęła z ulgą. Miałem wrażenie, że pierwszy raz od śmierci siostry na jej twarzy pojawił się grymas przypominający uśmiech. Ruszyła jako pierwsza, nie chciała czekać na mrozie. Była tak skupiona na tym, by dostać się do środka budynku, że ani razu nie spojrzała na to, co nas otaczało.

– Sky, radzę się zatrzymać – odezwał się Teodor mało przekonującym, zmęczonym głosem.

Dopiero teraz sam zacząłem się rozglądać po okolicy. Zmrużyłem oczy, a gdy udało mi się dojrzeć, co miał na myśli, zamarłem.

– Sky, stój! – zawołałem, podbiegając do niej.

Zatrzymała się w ostatniej chwili. Spojrzała to na mnie, to na Teodora, a następnie uniosła brew.

– Co? – burknęła. – Chciałabym coś zjeść i przede wszystkim się ogrzać. Tu jest potwornie zimno.

– Bariera ogrzeje cię jednorazowo – odpowiedział Teodor, podchodząc bliżej.

W tej chwili dzielił nas niecały metr od lekko połyskującego muru. Pochyliłem się, by przyjrzeć mu się dokładniej. Gdyby nie promienie słońca padające pod odpowiednim kątem, nie mielibyśmy najmniejszych szans go dostrzec. Mur lśnił delikatnie i do złudzenia przypominał cienką, przezroczystą folię. Dopiero teraz zrozumiałem, że przy opadach i gęstym zachmurzeniu niemożliwe było zauważenie tego, co osłaniało posiadłość przed światem zewnętrznym. Mogłem się tego domyślić – przecież ani mój ojciec, ani tym bardziej Rochester nie zostawiliby kryjóWKi bez odpowiedniego zabezpieczenia.

Nim którekolwiek się odezwało, usłyszałem za sobą dźwięk odbezpieczanej broni. Sky zamknęła oczy, Teodor westchnął, Lydia zbliżyła się do nas, a ja zacząłem się odwracać. Robiłem to powoli, bo nie byłem pewien, czego się spodziewać. Przez głowę przewinęły mi się najróżniejsze scenariusze. To, co dostrzegłem, nie miało jednak nic wspólnego z moimi wyobrażeniami. W gardle pojawiła mi się ogromna gula, a dłonie automatycznie się uniosły.

Zobaczyłem grupkę dorosłych ludzi, co najmniej dziesięcioro, ubranych w ciemnozielono-brązowe stroje do złudzenia przypominające te, które dawniej nosili żołnierze. Niektórzy mieli ze sobą broń, a jeszcze inni uniesione dłonie, gotowe do ataku. Nie poznawałem żadnego z nich, choć Mike i Alan mieli wielu sojuszników.

– Chyba zdajecie sobie sprawę, że jesteście na przegranej pozycji – odezwała się kobieta, która wysunęła się na przód grupy.

W dłoniach nie trzymała niczego, ale mogłem się spodziewać, że bardzo dobrze władała swoją mocą.

– Nie mamy zamiaru walczyć – odezwała się Lydia. Zbliżyła się do nas, przez co kilka pistoletów zostało wycelowanych wprost w nią.

Przysunąłem się do niej, by zasłonić ją własnym ciałem. Uniosłem podbródek, a wiatr przybrał na sile.

– Nie chcemy walczyć – powtórzyłem to, co próbowała im przekazać Lydia. – Szukamy...

– Przysłiście na urodzinowe przyjęcie Suzie czy Toma? – W głosie nieznanej kobiety można było usłyszeć kpinę. – Nie wkręcaj mi tu kitu. Na ziemię albo rozerwę was na strzępy!

Poczułem na sobie wzrok Sky oraz Teodora. Zaciśnąłem szczęki, jednak chwilę później uniosłem dłonie w górę. Ojca nie widziałem od lat, a jeszcze dłużej Rochester. Nie wiedziałem, czego się po nich spodziewać, jak okrutni się stali, a tym bardziej z jakimi ludźmi przyszło im współpracować. Któryś z nieznanomych złapał mnie za nadgarstki i wykręcił mi dłonie do tyłu.

– Zrób choćby jeden niewłaściwy ruch, a będzie on twoim ostatnim – wycodził mężczyzna.

– Nie jesteśmy wrogami – odpowiedziałem spokojnie. – Dajcie mi się wytłumaczyć, a dojdziemy do porozumienia.

Zaśmiał się, a wtedy wszyscy zwrócili na nas uwagę.

– Tak, a ja...

– Zabierzcie ich – wtrąciła ich najprawdopodobniej głównodowodząca.

Z całych sił próbowałem skojarzyć ją z kimkolwiek ze swojego dzieciństwa. Byłem pewien, że kogoś takiego z pewnością bym zapamiętał. Długie, kręcone włosy o wściekle czerwonym kolorze, jasno-niebieskie oczy, a przy tym mocno zarysowana szczęka. Kobieta mogła być w wieku mojego ojca, możliwe, że trochę młodsza.

– Christian Ross – odezwałem się do niej. – Nazywam się Christian Ross. Dajcie mi porozmawiać z moim ojcem. To jedyne, o co was proszę.

Nawet jeśli była zaskoczona, nie dała tego po sobie poznać.

– Zabierzcie nas do niego, a przekonacie się, że daleko nam do bycia wrogami – dodałem spokojnie.

Kobieta parsknęła.

– Byli tu już tacy – burknęła, podchodząc bliżej. – Nie nabieramy się na takie gierki. Mike nie ma dziecka, chłopczyku.

Choć jej słowa upewniły mnie, że trafiliśmy w dobre miejsce, poczułem nagły nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej. W jakiś sposób mnie to zabolalo. Czy to możliwe, że mój własny ojciec nie przyznał się do tego, że ma syna? Nie, to nie był moment, by zagłębiać się w takie rozważania. Na pytania i pretensje przyjdzie czas, gdy w końcu stanę z nim twarzą w twarz.

Po tych słowach dowodząca skinęła na mężczyznę za mną. Ten otworzył tę przezroczystą barierę i pociągnął mnie w stronę kryjówki. Miałem kilka możliwości i tak naprawdę każda oznaczała tragiczny koniec.

Pierwsza – mogłem zacząć walczyć, przez co natychmiast uznaliby mnie za wroga, którym nie byłem i nie chciałem być. Nie wspominając o tym, że mieli broń, a ja mogłem narazić Sky, Teodora i Lydię na niebezpieczeństwo.

Druga – mogłem zacząć usilnie ich przekonywać, kim jestem, w co z pewnością by nie uwierzyli. Już i tak było widać, że nie są skory do wierzenia w to, co mówię.

Trzecia – mogłem schylić głowę i mieć nadzieję, że nie ustawią nas pod murem i nie zaczną strzelać jak do kaczek.

Spojrzałem na Lydię. Jako jedyna próbowała rozmawiać z osobą, która ją przytrzymała. Nieudolnie, rzecz jasna, ponieważ ta usilnie ją ignorowała. Przymknąłem oczy i uświadomiłem sobie, że naszą jedyną rozsądną opcją była obserwacja.

Do budynku wprowadzono mnie jako pierwszego. Natychmiast skręciliśmy w lewo, po czym udaliśmy się schodami w dół. Nie miałem nawet szans na rozejrzenie się i zorientowanie, jak wygląda posiadłość. Szybko domyśliłem się jednak, że zeszliśmy do piwnicy, w której było chłodniej niż na zewnątrz. Zadrzałem.

– Popełniacie błąd! – Sky postanowiła się włączyć. – Przestań wbić we mnie te swoje pazury, bo przysięgam, że gorzko tego połajujesz! Słyszysz, co mówię?!

Kobieta nawet nie zareagowała, tylko wysunęła się naprzód. Otworzyła jedno z pomieszczeń, a następnie wprowadziła Sky do środka.

Potem wpełchnęli tam Teodora, a ten wpadł na dziewczynę. Sky przekląła siarczyście.

Popatrzyłem na jednego z mężczyzn.

– Możecie nas w końcu wysłuchać? – odezwałem się, nie mając już pewności, co powinienem zrobić.

Nie usłyszałem odpowiedzi. Bez słowa wyszli i zostawili nas samych. Zamknęli drzwi, a gdy tylko zaczęli odchodzić, Sky jęknęła żałośnie. Lydia podeszła do drzwi i szarpnęła za klamkę. Uniosłem głowę i zaciągnąłem się stęchlizną.

Nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszego początku.

– Tak wyglądają twoje spotkania rodzinne? – zakpił Teodor.

– Dlaczego z nimi nie dyskutowałeś?! – włączyła się Sky, najbardziej wściekła z naszej czwórki. – Mam ci przypomnieć, że w tym momencie Noemi walczy o życie?!

Nie musiała mi niczego *przypominać*. Robiła to za każdym razem, gdy zatrzymywaliśmy się na dłuższy odpoczynek. I doskonale ją rozumiałem. Pragnąłem jak najszybciej znaleźć się obok Rochestera i z nim porozmawiać. Rzeczywistość jednak wyglądała tak, że Teodor potrzebował przerw, nie był w stanie pokonać od razu tak długiej trasy. Musieliśmy często stawać, a mimo to mężczyzna i tak nie wyglądał najlepiej.

– Nie znam ich – zacząłem się tłumaczyć, sam coraz bardziej wściekły na tę sytuację. – Ale przecież mierzyli do nas z pistoletów, oni są zdolni do wszystkiego! Nie zachowujcie się tak, jakbyście byli niezwycześni, a moje nazwisko cokolwiek znaczyło!

Abstrahując od tego, że i tak nie mieli zamiaru uwierzyć w moje pochodzenie, dodałem w myślach.

Przymknąłem oczy i spróbowałem się uspokoić. Naprawdę nie chciałem na nich wyładowywać złości. Znaleźliśmy się w tym bagnie razem i razem próbowaliśmy się utrzymać na powierzchni. Problem jednak stanowiło to, że w bagnie nie da się pływać. Im dłużej w nim tkwiliśmy, tym większe było ryzyko, że w końcu utoniemy. Musieliśmy się z niego wydostać, i to jak najszybciej.

Podszedłem do jednej z wilgotnych ścian i zacząłem się zastanawiać, jakie mamy możliwości. Pomieszczenie było ogromne, ale zamknięte, nie było w nim nawet okna, a jedyna smuga światła docierała spod drzwi. Nie miałem pewności, czy chcą nas tu przetrzymywać wiecznie, czy jedynie upewnić się, że nie jesteśmy realnym zagrożeniem. Nie chcieli nas jednak słuchać, a kończył się nam czas. Pięć dni zajęło nam znalezienie tego przeklętego miejsca. O pięć dni za dużo, biorąc pod uwagę, że Noemi była w śmiertelnym niebezpieczeństwie i nikt z nas nie wiedział, co się z nią działo. Teodor nie był w stanie jej namierzyć, podobnie jak kilka dni temu mojego ojca oraz Rochesterów.

W tym wszystkim nie miałem również pewności, że mój ojciec znajdował się w tym budynku. Mógł być wszędzie, mógł gdzieś wyjechać, czegoś poszukiwać. W końcu Oliver nie miał z nimi kontaktu od pięciu dni. Czy Rochester mógł zacząć się tym martwić?

– Nie zabiliby nas... to było tylko ostrzeżenie – wtrącił Teodor, zupełnie niewzruszony moimi argumentami.

– Tak odczytałeś z ich myśli? – spytałem.

– Nie, ale...

– To ludzie Rochesterów. Z pewnością są tacy jak ja czy Noemi. Są ścigani za to, że żyją. Myślisz, że chcą tylko ostrzegać?

Miałem dość.

– Nie kłóćcie się – wtrąciła się Lydia. – Powinniśmy ustalić, jak się stąd wydostać. I to w jednym kawałku.

Zacisnąłem zęby. Sky miała rację – nie mogliśmy tracić czasu na bezsensowne czekanie. Nie, gdy nie mieliśmy pewności co do sytuacji Noemi oraz Olivera. Znów się rozejrzałem. Musieliśmy postawić wszystko na jedną kartę.

– Wprowadzili nas do posiadłości – zacząłem. – Teodorze, jeśli przyjrzałeś się głównemu wejściu, to przeniesiesz mnie na schody, a ja znajdę ojca.

– Nie wiesz, czy nie przetransportujecie się przed któregoś z tych szaleńców. To ryzykowne – powiedziała Lydia.

– Ale to najszybszy sposób. Teodor? – Popatrzyłem na niego. – Poradzisz sobie?

– To krótki dystans. Dam radę.

Najpewniej domyślał się, że jest to najlepszy sposób. Nie mieliśmy wiele czasu na analizę. Nie znaliśmy tych ludzi, nie znaliśmy ich planów. Głupotą byłoby siedzenie i czekanie na ich łaskę. Równie dobrze mogliby teraz planować, jaki sposób będzie najlepszy na pozbycie się czwórki nieproszonych gości.

Teodor złapał mnie za ramię, po czym odetchnął tak, jak za każdym razem, gdy przygotowywał się do użycia mocy.

– Powodzenia – wyszeptała Lydia.

Po tych słowach zniknęła z naszego pola widzenia.

Rozdział 2

Miałem wrażenie, że powrót do rzeczywistości zajął nam więcej czasu niż ostatnio. Dopiero po kilkunastu sekundach ukazał się przede mną znajomy korytarz. Zakręciło mi się w głowie, więc zamrugałem. Belu- ardo natomiast wyglądał jeszcze gorzej niż wcześniej. Skrzywił się nieznacznie i złapał pobliskiej ściany.

– Wszystko w porządku? – spytałem, bo nie byłem pewien, czy mężczyzna zaraz nie upadnie.

Machnął ręką, po czym ruszył w stronę schodów znajdujących się naprzeciwko nas. Raz jeszcze przyjrzałem się miejscu, w którym się znaleźliśmy. Ku mojemu zdziwieniu w środku było cieplej, niż się spodziewałem. Gdzieniedzie dostrzegłem powybijane szyby, ale większość okien wydawała się dość szczelna. Znacznie większym problemem był brak światła. Na korytarzu panował półmrok, do którego musiałem się chwilę przyzwyczajać.

Popatrzyłem w stronę schodów i wyprzedziłem Teodora, wyglądającego, jakby miał zaraz upaść. Wolałem iść przed nim, by w razie komplikacji móc go ochronić. Jednocześnie zacząłem się coraz bardziej niepokoić. Ciągłe używanie mocy mogło powodować poważne osłabienie. W Akademii nieraz ostrzegano nas przed zbyt intensywnym korzystaniem z żywiołów. Pomijając bezpieczeństwo, to głównie dlatego jedną z zasad było niekorzystanie z mocy po zajęciach.

Cisza panująca w posiadłości była przerażająca. Każdy mój krok, każdy oddech był doskonale słyszalny i miałem wrażenie, że gdyby

Teodor był bliżej, mógłby usłyszeć także moje szaleńczo bijące serce. Zerknąłem za okno, gdy słońce zaszło za chmury. Zapanowała jeszcze większa ciemność.

Ukradkiem skierowałem wzrok na Teodora, który wydawał się jeszcze bledszy niż wcześniej. By się upewnić, że wszystko z nim w porządku, zatrzymałem się. Nim jednak zdołałem cokolwiek powiedzieć, usłyszałem za sobą szmer. Natychmiast się odwróciłem.

– Czyżby Emily nie wyraziła się jasno?

Kolejny raz ktoś do mnie mierzył. Teraz jednak nieznajomy był sam, a moje szanse były wyrównane. Zrobiłem krok do przodu, czym go zdziwiłem. Poprawił drżącą dłoń na pistolecie, a na czole pojawiła mu się drobna zmarszczka.

– Powiedziałbym, że wyraziła się bardzo jasno – odpowiedziałem mu, mając nadzieję, że mój głos nie zadrżał. Nie chciałem, aby dostrzegł, że jestem przerażony. Wystarczyłby moment, żebym dostał kulkę. – Ale zostałem zignorowany, dlatego powtórzę raz jeszcze: gdzie jest Mike Ross?

Parsknął, poprawiając palce na broni.

– Nie twój...

Zacisnąłem dłoń w pięść, a głos ugrzązł mu w gardle. Złapał się za nie, a broń z głośnym trzaskiem upadła na podłogę. Nim zdołałem ją podnieść, zrobił to Teodor. Rozluźniłem uchwyt, a nieznajomy, dysząc ciężko, upadł na kolana.

– Czy mój kolega nie wyraził się jasno? – spytał Teodor, przystawiając mu lufę do skroni.

– Śmiało. Zabijcie mnie. Wtedy z pewnością ujrzycie Mike’a Rossa. Problem w tym, że będzie pragnął waszej śmierci.

Powoli traciłem cierpliwość.

– Jest w drugiej sali po lewej – odezwał się nagle Teodor.

Wyraz twarzy mężczyzny diametralnie się zmienił, gdy zorientował się, w jaki sposób Teodor zdobył informacje. Szarpnął się, próbując się wyrwać, ale mój sojusznik mu na to nie pozwolił. Podniósł go i przystawiając lufę do pleców, popchnął w stronę, gdzie miał przebywać mój ojciec. Nieznajomy był od Teodora wyraźnie niższy,

co ułatwiało prowadzenie go. Gdy pokonaliśmy wszystkie schody, moim oczom ukazał się długi korytarz, ale zanim zdołałem wykonać choćby krok w kierunku drugich drzwi, rozległ się donośny wrzask:

– Pomocy!

Echo odbiło się od ścian, a zaraz potem nastąpiła przerażająca cisza. Teodor zmierzył chłopaka wzrokiem, ja za to przymknąłem oczy, by choć trochę się uspokoić. Nie udało mi się jednak zapanować nad drżeniem dłoni.

– Nie rób głupot – powiedziałem, ostrzegając go przed najgorszą rzeczą, jaką mógłby uczynić.

Teodor nie zdołał mi odpowiedzieć, ponieważ z sali, do której zmierzaliśmy, wyłonili się ludzie. Zrobiłem krok w tył, gdy większość z nich wyciągnęła broń i zaczęła mierzyć w moim kierunku.

Przekląłem w duchu i ukradkiem spojrzałem na Teodora. Celował teraz w skroń mężczyzny.

– Ostrożnie, bo go sprzątnę – wycedził ostro.

I do cholery, nawet ja mu uwierzyłem.

– Nim zdołasz mrugnąć, ja zabiję twojego dzieciaka – zripostowała kobieta, którą nieznajomy nazywał Emily. Zmierzyła mnie wzrokiem. – Jakieś ostatnie życzenie?

Przełknąłem ciężko ślinę, bo chciałem, by ta irytująca gula w gardle zniknęła. W tym momencie skończyły się żarty, nie miałem żadnego argumentu, który mógłby ich przekonać. Znowu byliśmy na przegranej pozycji, a Teodor mógł uratować jedynie siebie. Popatrzyłem na niego, licząc, że zrozumie, co mam do przekazania. Ten jednak uparcie trzymał pistolet, nie odwracając wzroku od kobiety. Odbezpieczył broń.

Uciekaj, rzuciłem w myślach, mając nadzieję, że mnie posłucha. Spojrzał na mnie z politowaniem. Miałem ochotę przewrócić oczami. Jego poświęcenie wydawało się kompletnie niepotrzebne. Przecież nie musiał tu być. Mógł w ułamku sekundy zniknąć. Być wolny tak, jak jeszcze kilka dni temu. Coś ścisnęło mnie w piersi. Uparcie chciał zostać, a teraz miał zapłacić za to najwyższą cenę.

– Wszyscy opuścić broń! – rozbrzmiał nagle męski głos, który przerwał moje nieciekawe rozmyślenia.

I choć od lat go nie słyszałem, doskonale wiedziałem, kto wypowiedział te słowa. Ludzie natychmiast spojrzeli w jego stronę. Emily jako jedyna nie miała zamiaru odpuszczać. Nadal mając mnie na celowniku, spytała:

– Mam rozumieć, że chcesz sam odstrzelić te darmozjady?

– Wolałbym nie zabijać własnego syna.

Po tych słowach Mike wyszedł naprzód, a ja zignorowałem to, że kobieta jest gotowa odstrzelić mi łeb. Skupiłem całą swoją uwagę na mężczyźnie, wyglądającym zupełnie inaczej, niż to zapamiętałem. Włosy miał zdecydowanie krótsze i ciemniejsze, a broda, którą z tak wielką dumą nosił, niemalże nie istniała. Zamiast niej jego twarz pokryła się zmarszczkami, sugerującymi, że liczy więcej lat, niż miał w rzeczywistości. Gdyby nie to przenikliwe, ciemne spojrzenie, tak podobne do mojego, to nie wiem, czy w ogóle bym go rozpoznał.

Mike również przez dłuższą chwilę nie odrywał ode mnie wzroku. Opuścił jednak jako pierwszy i popatrzył na Emily, a potem wykonał dłonią dobrze mi znany gest. Kobieta jęknęła, chwytając się za nadgarstek, gdy broń z łoskotem upadła na podłogę. Nikt nie zareagował, nikt nawet nie drgnął.

– O ile dobrze zrozumiałem, powinna być ich czwórka? – spytał, ale nie oczekiwał odpowiedzi. – Natychmiast naszykować im pokoje, czyste ubrania oraz coś ciepłego do jedzenia.

Teodor, gdy tylko usłyszał ostatnie słowo, natychmiast wypuścił zakładnika. Zabezpieczył broń, a następnie schował ją do swojego płaszcza. Wzruszył ramionami, kiedy zrozumiał, że mu się przyglądam.

– Christianie – odezwał się ojciec – pójdziesz ze mną.

Po tych słowach odwrócił się, a tłum kolejny raz zrobił mu miejsce. Nikt z zebranych nawet nie ośmielił się spojrzeć ani na mnie, ani na Mike'a. Ruszyłem za nim, bo wiedziałem, że nie mam innego wyjścia.

Miej na oku Sky i Lydie, pomyślałem, wiedząc, że to najlepszy sposób, aby poprosić teraz o coś Teodora.

Ten kiwnął głową, rozumiejąc, co chciałem mu przekazać. Zrobiło mi się lżej na sercu. Zapowiadało się na to, że byliśmy bezpieczni. Przez myśl przeszło mi nawet, że mogliśmy być mile widziani. W końcu nie codziennie dostaje się ubrania oraz coś ciepłego do jedzenia. A tego drugiego nie mieliśmy w ustach od pięciu dni.

Bez słowa razem z ojcem weszliśmy do jednego z wielu pomieszczeń – innego niż to, z którego chwilę wcześniej wszyscy wybiegli. Zamknął za mną drzwi, a ja spiąłem się nieznacznie, kiedy zaskrzypiały.

Mike Ross podszedł do ogromnego okna, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Machnął dłonią, a śnieżycą nabrała rozpędu. Usłyszałem złowrogi świst wiatru, gdy z nieba zaczęło spadać coraz więcej płatków.

– Z tego, co mi wiadomo, nie skończyłeś jeszcze Akademii – odezwał się jako pierwszy.

Dopiero teraz zorientowałem się, że głos również mu się zmienił. Po śmierci żony, a mojej mamy, jego ton nabrał zupełnie innej barwy. Był ostrzejszy, obojętny, teraz zaś jakby sugerował, że ojciec nie chce ze mną rozmawiać. Mógłbym rzec, że Mike niemalże niczym mnie nie zaskoczył, nawet swoją pierwszą uwagą pod moim adresem. Natychmiast przypomniałem sobie, o co byłem taki wściekły i dlaczego nie chciałem mieć z nim kontaktu.

– A co? Dopiero wtedy powiedziałaś swoim ludziom, że masz syna?

Obdarzył mnie tym typowym zażenowanym i jednocześnie karzącym spojrzeniem. Najpewniej kilka lat temu przeprosiłbym za swój ton, jednak nie dziś. Nie teraz, kiedy byłem tak głęboko zraniony przez człowieka, który powinien być mi najbliższy.

– Chyba nie sądziłeś, że powiem tym ludziom, iż mój syn uczęszcza do Akademii, w której uczą się ich najwięksi wrogowie?

– Jakoś dzisiaj nie miałeś z tym problemu – odpowiedziałem, krzyżując ramiona na piersi.

Nic mi na to nie odpowiedział, więc westchnąłem ciężko. Mogłem przewidzieć, że się nie dowiem, dlaczego ukrywał ten dość istotny

fakt ze swojego życia. Mój ojciec zawsze mówił półsłówkami, unikając odpowiedzi.

– Gdzie jest Rochester? – spytałem w końcu.

Już wiedziałem, że uprzejmości mamy za sobą. Teraz ważniejsze było dla mnie życie Noemi niż relacja z ojcem, którą i tak już spisałem na straty. Poza tym... kogo ja próbowałem oszukiwać?

Noemi zawsze była ważniejsza.

Mężczyzna nieznacznie uniósł brew.

– Wyszedł kilka dni temu – odparł od niechcienia. – Jeszcze nie wrócił, ale to nie wyjaśnia, dlaczego ty tu jesteś. Masz pewność, że nikt cię nie śledził i nie sprowadzisz na nas kłopotów?

Zacisnąłem usta w cienką linię.

– Teodor teleportował nas do waszej kryjówki. Nie było szans, aby nas wyśledzić. – Zrobiłem krok w jego stronę. – Poza tym nie mówię o Oliverze, ale o Alanie. Chciałbym z nim porozmawiać.

– Alan ma ważniejsze rzeczy...

– Ważniejsze niż własne dzieci?

– Dziecko – wycodził.

Pokręciłem głową.

– Dzieci, tato – powiedziałem słabo. – Ale jeśli nie porozmawiamy, nie będzie miał ani jednego.

– Christianie...

– Uwierz mi, też nie chcę tu być. – Kolejny raz mu przerwałem, a w jego oczach dostrzegłem cień bólu. – I nie ryzykowałabym ujawnienia waszej kryjówki, gdyby nie było to coś ważnego. Choć raz mnie wysłuchaj.

Choć raz od tyłu lat.

Mężczyzna jeszcze przez dłuższą chwilę mi się przyglądał. Nie byłem w stanie stwierdzić, co to właściwie zwiastuje.

Na jego szczęście nie musiał odpowiadać ani podejmować decyzji, ponieważ zanim się odezwał, rozległo się pukanie do drzwi. Gdy się odwróciłem, do pokoju wszedł Alan Rochester. Mimowolnie się wyprostowałem.

Wyglądał prawie tak samo, jak go zapamiętałem. Podobnie jak mój ojciec był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Miał włosy w odcieniu identycznym jak włosy Noemi. Chociaż krótkie, były idealnie ułożone – tak jak jego kilkuniedniowy zarost, który wyostrzał rysy jego twarzy. Ale to oczy najbardziej przyciągały uwagę. Miały szmaragdowy odcień i biła z nich taka siła, że aż chciało się stanąć na baczność. Choć za dzieciaka to mój ojciec najbardziej mi imponował, teraz zrozumiałem, dlaczego to właśnie Rochester został wybrany na Lidera *wynaturzonych*.

– Emily powiedziała mi, co się wydarzyło na korytarzu, jednak nie dowierzałem.

– Emily zawsze wciska nos w nie swoje sprawy – parsknął mój ojciec. – Chciałbym dokończyć rozmowę z moim synem.

– Myślę, że już skończyliśmy – wtrąciłem, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Za to chciałbym porozmawiać z tobą.

Rochester uniósł brew w zdziwieniu. Przecież nie miałem zamiaru tracić czasu na rozmowę z ojcem, bo i tak nie miał zamiaru mnie słuchać. Chciał jedynie mówić.

Alan, którego znałem i pamiętałem, był inny. Nie musiałem długo czekać. Upewnił się, że drzwi się za nim zamknęły, a następnie ruszył w moim kierunku. Wyminął mnie i tak samo jak mój ojciec stanął blisko okna. Skinął głową, jakby chciał mi powiedzieć, że jest gotów.

Mike natomiast usunął się w cień, ponieważ jeśli Alan chciał mnie wysłuchać, on nie miał nic do gadania.

– Mów – nakazał.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

POWRÓĆ DO POZBAWIONEGO WSZELKICH REGUŁ MROCNego ŚWIATA AKADEMII MAGII!

Wbrew swojej woli i pragnieniom Noemi Rochester trafia w sam środek wojny. Owszem, w końcu udaje jej się odzyskać to, co zostało jej brutalnie odebrane – skradzione wspomnienia, które stanowią klucz do jej przeszłości. Jednak cena tej prawdy okazuje się druzgocąca. Akademia Magii, miejsce, które powinno być dla niej schronieniem, okazuje się więzieniem. Przyjaciele zdradzili, przeznaczenie jawi się wyjątkowo nieciekawie. Czyżby jedynym dobrym wyjściem miało być zaufanie wrogom?

Christian Ross ma tylko jeden cel: uratować Noemi. Wypełni misję, nawet jeśli w tym celu będzie musiał współpracować z własnym ojcem. Jednak w świecie pełnym tajemnic, kłamstw i obłudy, granice dobra i zła są trudne do rozpoznania. Czy w kryjówce Rochestera Christian odnajdzie sojuszników? Czy wpadnie na trop Noemi, zanim będzie za późno?

Rodzina była początkiem wszystkiego i to doprowadzi do ich zguby.

Świat, który znają, znika. Jego koniec nadejdzie szybciej, niż myśla...

Patroni medialni:



beyA 14+
beyA.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-1237-3



9 788328 912373

cenę: 34,90 zł